

Pasterze ludu Bożego

Narodziny Kościoła biskupów

W eseju tym będę mówiła o duchowieństwie: jego hierarchicznej strukturze, sposobie powoływania, duszpasterskich zadaniach poszczególnych stopni, karierze kościelnej, społecznym pochodzeniu, specyficznej mentalności, procedurach podejmowania ważniejszych decyzji. Przedstawię szkielet kościelnej organizacji: biskupstwa i metropolie – będę miała wówczas okazję do odkrywania tajemnic kościelnej geografii i reguł walki o zdobycie hegemonii. Informacje przeze mnie zgromadzone są niezbędne, aby uświadomić czytelnikowi, jak odmienny, mimo zasadniczej tożsamości, był Kościół późnego antyku w zestawieniu z Kościołem współczesnym, znanym mi z jego własnych doświadczeń. Dzięki temu możliwe będzie zrozumienie przez współczesnych specyfiki chrześcijaństwa starożytnego.

Z moich rozważań usunę Kościół czasów, w których jego przewodnictwo należało przede wszystkim do charyzmatyków, a więc ludzi, którym Duch Święty dał swe specjalne dary, nie będę więc zajmować się procesem wypierania charyzmatyków przez przywódców powoływanych z racji cnót zwyczajnych: pobożności, umiejętności organizowania działalności filantropijnej czy kierowania klerem itp. Ów proces był bolesny i trwał w rozmaitych środowiskach długo, grupy charyzmatyków spychane były poza Kościół („Wielki Kościół”, jak go dzisiejsi historycy najczęściej nazywają). Podejrzewano ich o opętanie przez szatana i traktowano z najwyższą, rosnącą z czasem nieufnością. Niech mi będzie wolno zacytować tylko jeden fragment *Historii kościelnej* Euzebiusza, który dobrze wprowadza w atmosferę, w jakiej przyszło działać charyzmatykom. Rzeczą tyczy się Montanusa, twórcy ważnej (i trwałej) herezji: „Montanus [...] dał się opanować niepohamowanemu pragnieniu zajęcia stanowiska naczelnego, otworzył do siebie przystęp Przeciwnikowi. Demon opętał go tak, że popadł nagle w rodzaj zachwycenia i ekstazy, począł szaleć, gadać, dziwne wydawać dźwięki i prorokować zgoła przeciwko zwyczajowi kościelnemu, opartemu na tradycji i od dawna ustalonej kolejności” (5, 16, przekł. ks. A. Lisieckiego).

„Mój” Kościół był Kościołem biskupów, suwerennie rządzących gminami. Badacze dziejów Kościoła nazywają ich biskupami monarchicznymi (uwaga: termin jest współczesny, nie istniał w starożytności!) Pojawili się oni w gminach

chrześcijańskich najwcześniej w początku II w., a upowszechnili się bardzo powoli, jeszcze w końcu tego stulecia istniały wspólnoty rządzone nie przez jednostki, lecz przez rady duchownych. Te wczesne Kościoły były bardzo odmienne od tych, które wyrosły później, niestety niewiele o nich wiemy. Nie mam dość wiedzy i odwagi, aby przedstawiać Kościoły pierwszych pokoleń.

W całej mojej książce używać będę często słowa „Kościół” w liczbie mnogiej, tam gdzie czytelnik spodziewałby się wyłącznie liczby pojedynczej. Czynię to w pełni świadomie. Aż po IV w. Kościół, jako jednolita struktura organizacyjna, jeszcze nie istnieje. Społeczności chrześcijańskie poszczególnych miast, a czasami nawet większych wsi, stanowią Kościoły samodzielne. Pozbawienie ich swobody, włączenie w organizację zbudowaną w sposób hierarchiczny, poddanie kierującym nimi biskupów władzy wyżej od nich stojących dostojników, opracowanie zrębu zasad, którymi winno się kierować duchowieństwo (tradycyjnie, choć nieco przedwcześnie w przypadku starożytności, nazywa się te zasady prawem kanonicznym), urzeczywistniane było stopniowo w ciągu IV w. Dopełnienie tego procesu nastąpi dopiero w kolejnych stuleciach. Oczywiście w sferze wiary Kościół był od początku odbierany jako jedność – jeden lud Chrystusowy, ożywiony tą samą wiarą, tymi samymi nadziejami. Ale już w sferze liturgii różnice były poważne: teksty modlitw, nawet tych najważniejszych dla chrześcijańskiej obrzędowości, wykazywały istotne rozbieżności, kalendarz religijny daleki był od jednolitości. Kościoły utrzymywały stosunki między sobą – krążyli posłańcy z listami i ustnymi wiadomościami o tym, co się wydarzyło, biskupi radzili się wzajemnie, jeśli pojawiały się trudności organizacyjne i wątpliwości doktrynalne. Ale jeśli biskup nie chciał wysyłać listów, radzić się innych, przestrzegać wcześniej uzgodnionych postanowień, jego owieczki zaś były z niego zadowolone, nikt i nic nie mogło go skłonić do podejmowania wspólnych działań.

Rola biskupa w chrześcijańskich społecznościach

Biskup zajmował o wiele ważniejsze miejsce w działaniach Kościoła starożytnego, niż to się dzieje w dzisiejszym Kościele. Zmiany w organizacji kościelnej, następujące w IV w., choć poddały biskupa władzy hierarchicznych zwierzchników, bynajmniej nie zmniejszyły zakresu jego zadań ani nawet znaczenia, jeśli patrzeć z punktu widzenia członków kierowanej przez niego gminy. Pozostawał on nadal osią wszystkich działań Kościoła.

Biskup nie tylko organizował działalność duszpasterską, ale osobiście brał w niej poważny udział. W starożytności, także tej późnej, członkowie gminy byli na ogół przez niego chrzczeni. W sytuacjach wyjątkowych chrzczyć co prawda mogli też inni członkowie kleru, a nawet zwykli wierni, jednak taki obrzęd był niepełny, trzeba go było uzupełnić przez włożenie rąk, w której to ceremonii biskup przekazywał dary Ducha Świętego.

Do podstawowych zadań biskupa należało nauczanie prawd wiary. W bardzo wielu Kościołach w IV w. wygłaszanie w czasie mszy kazań przez prezbiterów było nie do pomyślenia, niekiedy im tego wyraźnie zakazywano. Biskup przygotowywał też pragnących się ochrzcić ludzi, uczył prawd wiary, udzielał katechumenom błogosławieństwa, a także dokonywał egzorcyzmów, aby umocnić ich w walce z szatanem, z którego władzy mieli się poprzez chrzest wyrwać. Mógł oczywiście, choć zdarzało się to rzadko, obciążyć obowiązkiem wygłaszania nauk wybranych przez siebie członków kleru (znamy takie przypadki z dużych miast, w których katechumenów było zbyt wielu, aby biskupi byli w stanie fizycznie podjąć tak liczny obowiązek; ponadto wypełniali rozmaite zadania, podróżowali, chorowali, a nie można było zaprzestać przygotowywania ludzi do chrztu).

Biskup wyłączał grzeszników z gminy i tylko on mógł ich przyjąć ponownie. Biskup innego miasta pozwalający na udział w ofierze eucharystycznej człowiekowi, który został tego prawa pozbawiony, narażał się na potępienie, a od IV w. także na postępowanie dyscyplinarne.

Biskup wyświęcał nowych członków lokalnego kleru. Obyczaj kościelny nakazywał mu zasięgnięcie w tej sprawie rady u już działających członków kleru, zwłaszcza najwyższej hierarchicznie postawionych prezbiterów. Jeśli jednak biskup tego nie uczynił i podjął decyzję arbitralnie, właściwie nikt nie był w stanie zmusić go do jej cofnięcia, w każdym wypadku pozostawała ważna. Członek kleru opuszczający miasto, w którym go wyświęcono, i przenoszący się do innej miejscowości bez zezwolenia biskupa, bez jego listu poświadczającego dobre obyczaje i dobre wykonywanie kościelnych funkcji, w nowym miejscu nie mógł być (przynajmniej teoretycznie) przyjęty do kleru.

Bezwzględna podległość kleru w stosunku do biskupa rodziła poważne niebezpieczeństwa. Biskup mógł, w złej wierze, ale i w dobrej, ciężko skrzywdzić swego podwładnego. Nie wszyscy akceptowali wyrok biskupi z pokorą, często rozpoczynali z nim walkę, udając się na skargę do innych biskupów albo, mimo że kościelne obyczaje tego zakazywały, do świeckich trybunałów (zwłaszcza gdy w grę wchodziły sprawy finansowe). W zasadzie obcy biskup nie powinien interweniować w takich sytuacjach, ale zdarzały się przypadki tak jawnej niesprawiedliwości, że trudno było je ignorować; często też rywalizacja między Kościołami skłaniała biskupów do zajęcia się poszkodowanymi na złość konkurentowi. Tłum przynoszących skargi stanowił tak wielki problem dla dobrego funkcjonowania Kościoła, że już na soborze nicejskim, a więc w 325 r., podjęto decyzję, którą z niewielkimi zmianami powtarzać będą następne zgromadzenia biskupie:

„Co się tyczy duchownych lub świeckich ekskomunikowanych, to wyrok wydany przez biskupów każdej prowincji musi mieć moc prawa zgodnie z następującą regułą: ten, kto został ekskomunikowany przez jednego, nie może być przyjmowany przez innych. Trzeba się zbadać, czy biskup nie wydał wyroku wykluczenia ze wspólnoty powodowany małodusznością, chęcią rywalizacji lub też jakimś innym uczuciem niechęci. Żeby jednak to dochodzenie mogło mieć

miejsce, wydało nam się rzeczą słuszną polecić, aby w każdej prowincji zwoływano dwa razy do roku synod, który będzie się składał ze wszystkich biskupów prowincji; dokonają oni wszelkich koniecznych dochodzeń, aby dowiedzieli się, że ci, którzy ewidentnie poróżnili się ze swoim biskupem, sprawiedliwie zostali ukarani ekskomuniką, która pozostanie w mocy aż do chwili, gdy zgromadzeniu biskupów lub biskupowi, który wyrok wydał, spodoba się złagodzić ten wyrok. Synody te winny się odbywać: jeden przed postem czterdziestodniowym, byśmy oddaliwszy wszystkie mało wzniosłe uczucia, mogli przedstawić Bogu miłą ofiarę, a drugi – na jesieni” (kanon 5).

Poza możliwością odwołania się do zgromadzenia biskupów danej prowincji osoba skrzywdzona mogła, zgodnie z obyczajami ustalonymi wcześniej, ale formalnie potwierdzonymi w IV w., udać się do biskupa miasta postawionego wyżej w kościelnej hierarchii: do metropolity. O metropolitach będę mówiła szerzej nieco dalej.

Szanse na to, że takie skargi przeciwko własnemu biskupowi zostaną życzliwie wysłuchane, nie były zbyt wielkie. Trzeba było wyraźnych dowodów na działalność jaskrawie sprzeczną z prawem bądź ostrych konfliktów w gronie biskupów (wtedy wrogowie danego biskupa wykorzystywali każde, nawet źle udokumentowane oskarżenie), aby głos poszkodowanego wywołał jakiś skutek. Było to zgodne z mentalnością właściwą grupom zhierarchizowanym, które z góry przyznawały rację przedstawicielom wyższych stopni, wszelkie protesty pochodzące z niższych szczebli pojmowano jako zamach na same podstawy całej budowli.

W IV w. przybyła biskupom nowa funkcja: nadzór nad mnichami i mniszkami. Nie było to bynajmniej łatwe. Mnisi niezwykle szybko stworzyli grupę naciśku na biskupa, aktywną zwłaszcza w okresach konfliktów doktrynalnych, popychającą do radykalniejszej walki z poganami, żydami, heretykami i podejrzliwie traktującą tych pasterzy, którym nie w smak były gwałty. Po fatalnych doświadczeniach końca IV i pierwszej połowy V w., na soborze w Chalcedonie, mnichów podporządkowano ściśle biskupowi, który od tej pory musiał wyrazić zgodę na zakładanie wspólnot monastycznych.

Kanon wyraża pragnienia biskupów bojących się destabilizacji ich gmin, mających dość nacisków doktrynalnych, demonstracji nierzadko o charakterze społecznym, nieprzestrzegania obyczajów kościelnych, banalnych awantur. Nie sądzmy, że wystarczyło uchwalenie kanonu, aby rzeczywistość automatycznie uległa zmianie. Napięcie między mnichami a biskupami w wielu miastach nadal się utrzymywało. W Egipcie mnisi nie konsultowali z biskupami kandydatów na przeorów, nic nie wskazuje na to, by pytali się kogokolwiek o zgodę przed założeniem nowego eremu czy nawet większej wspólnoty monastycznej.

Kościół już w III w. miał spory majątek, na który składały się budynki, a także grunty, pieniądze, zapasy zboża i innych produktów rolnych, szaty, naczynia itd. – wszystko to pochodziło z darów składanych przez wiernych. Z upływem czasu stan posiadania Kościoła rósł z wielką szybkością, do czego przyczyniali się również cesarze, hojnie łożący na jego potrzeby. Rosła także liczba zamoż-

nych członków gmin, ich szczodroblivość na rzecz Kościoła stała się zwykłym sposobem ostentacji, manifestowania posiadanego bogactwa, afirmacji społecznego statusu. W „dobrych” antycznych czasach rodziny majątne służyły swymi środkami współobywatelom w ramach instytucji miejskich, kryzys *polis-civitas* spowodował, że ów strumień skierował się ku Kościołowi.

Do biskupów należało administrowanie majątkiem ich Kościołów wedle własnego rozeznania. Śledząc dyskusje na temat zasad, których winni oni przestrzegać (toczyły się te dyskusje wielokrotnie na synodach i soborach, które uchwały w ich wyniku odpowiednie przepisy), zdajemy sobie sprawę, że starano się unikać dwóch skrajności, równie dla Kościoła niebezpiecznych. Nie można było biskupowi narzucać ścisłych reguł ani poddawać go drobiazgowej kontroli. Przede wszystkim działalność filantropijna, tak ważna dla gmin chrześcijańskich, wymagała swobodnego operowania groszem bez opowiadania wszystkim, co i komu się dało. W czasach prześladowań biskup nieraz używał pieniędzy na łapówki dla urzędników, strażników więziennych itp., a w chrześcijańskim cesarstwie też nie brakło sytuacji, gdy trzeba było przyspieszać załatwienie rozmaitych spraw, wręczając dary odpowiednim osobom. Dyskrecja zatem była często pożądana. Zdając się we wszystkim na biskupa, ryzykowano jednak wiele: jeśli był człowiekiem nieuczciwym lub niezręcznym, Kościół mógł ponieść ogromne straty. Zgromadzeni na synodach biskupi starali się więc określić, na co wolno, a na co nie wolno wydawać kościelnych pieniędzy, próbowali zwłaszcza wprowadzić ograniczenia w swobodnym dysponowaniu kościelnymi nieruchomościami. Powtarzano, że nie wolno dopuszczać do sytuacji, kiedy to biskup umierając, dysponuje większym majątkiem osobistym niż wtedy, gdy obejmował swe stanowisko, w zasadzie owa nadwyżka powinna przypaść Kościołowi. Ale jak udowodnić, że wzbogacenie było efektem używania kościelnych pieniędzy do prywatnych operacji? Biskup mógł przecież w sposób godziwy pomnożyć swój własny majątek – ustalenie, gdzie występowała zła wola, a gdzie nie, musiało napotykać trudności.

W połowie V w. na soborze chalcedońskim jego uczestnicy nakazali wszystkim biskupom mianowanie kościelnych urzędników z tytułem *oikonomos* („ekonom”), których zadaniem było współadministrowanie, a więc i współodpowiedzialność za kościelne finanse. Oczywiście także wcześniej biskupi mieli pomocników w tej dziedzinie, ale byli to ludzie bez żadnego statusu. Zebrani w Chalcedonie uczestnicy soboru sądzili, że sformalizowanie stanowiska zmieni charakter ich działania. Miano przede wszystkim nadzieję, że człowiek obdarzony takim prestiżowym tytułem będzie się czuł częścią kościelnej maszyny (a nie tylko częścią „domu” biskupiego) i że stanie się dzięki temu kontrolerem poczynań biskupa. Jednak ekonom dalej był ściśle podporządkowany biskupowi i działał wyłącznie na jego polecenie, można więc wątpić, czy jego powołanie zmniejszało niebezpieczeństwo pojawiania się przypadków nieuczciwości i lekkomyślności. Skandali finansowych w Kościele nie brakło, znaczna część spraw dyscyplinarnych dotyczyła nadużyć majątkowych.

Biskupi zawsze odgrywali w gminach rolę rozjemców w sporach między wierzniymi, w IV w. ta ich funkcja uległa sformalizowaniu i rozszerzeniu dzięki wydaniu cesarskich przywilejów dla tej formy wymiaru sprawiedliwości. Nazywano ją *episcopalis audientia*, będą jeszcze miała okazję pisać na ten temat nieco szerzej. Była ona ważnym instrumentem władzy biskupa nad mieszkańcami jego miasta, dlatego cesarskie przywileje odnoszące się do niej witane były przez Kościół z satysfakcją, jednak na co dzień stanowiła prawdziwe przekleństwo dla gorliwego pasterza, pożerała mu mnóstwo czasu, zmuszając do podejmowania decyzji w dziedzinie, której najczęściej nie znał w dostatecznym stopniu.

Wybory biskupów

Dla każdego Kościoła wybór biskupa był sprawą niezmiernie ważną, budzącą zrozumiałe namietności. Uczestnicy skomplikowanej procedury zmierzającej do powołania nowego pasterza gminy mieli w pamięci zalecenia biblijne:

„Jeśli ktoś dąży do biskupstwa, pożąda dobrego zadania. Biskup powinien być nienaganny, mąż jednej żony, trzeźwy, rozsądny, przyzwoity, gościnny, sposobny do nauczania, nie przebierający miary w picu wina, nieskłonny do bicia, ale opanowany, niekłótniwy, niechciwy na grosz, dobrze rządzący własnym domem, trzymający dzieci w uległości, z całą godnością. Jeśli ktoś bowiem nie umie stanąć na czele własnego domu, jakżeż będzie się troszczył o Kościół Boży? Nie może być świeżo ochrzczony, ażeby wbiwszy się w pychę, nie wpadł w diabelskie potępienie. Powinien też mieć dobre świadectwo ze strony tych, którzy są z zewnątrz, żeby się nie naraził na wzgardę i sidła diabelskie” (1 Tm 1–7). [Autor używa terminu *episkope*, tłumaczonego tu jako biskupstwo, dalej będzie pisał o *episkopos*. Można jednak zasadnie wątpić, czy w czasach, w których pisano ten tekst, już istniał urząd biskupa w kształcie znanym nam z późniejszych dziejów Kościoła. Nie ma to jednak dla naszych rozważań znaczenia. Po pierwsze, ów ustęp formułuje zasady dotyczące kierowników gmin chrześcijańskich w ogóle, niezależnie od noszonego tytułu. Po drugie, w czasach późnej starożytności nikt nie stawiał sobie pytania o sens terminów *episkope* i *episkopos* w tym tekście, wskazania w nim zawarte odnoszono do biskupa.]

Zalecenia *Listu do Tymoteusza* są sformułowane tak ogólnikowo, że niewiele pomagały w czasie wyborczych swarów. Wynikało z nich tylko, że biskupem nie może zostać człowiek dwukrotnie żonaty, a także, iż niezbyt chlubne zachowanie dzieci stanowi argument negatywny.

W IV w. w procedurze wyborczej uczestniczyły trzy grupy: kler danego Kościoła, biskupi okolicznych miast (najlepiej wszyscy biskupi danej prowincji) na czele z metropolitą, któremu gwarantowano prawo do podejmowania decyzji ostatecznych, oraz ludzie świeccy. W III w. biskupi odgrywali niewątpliwie mniejszą rolę (pomijając funkcję metropolity, struktury metropolitalne dopiero się rodzi-

ły), natomiast o wiele więcej ważył głos ludu. Gdy imperium zaczęło być rządzone przez cesarzy chrześcijańskich, obsada najważniejszych biskupstw dokonywała się często przy ich udziale. Nie zawsze była to interwencja otwarta i bezpośrednia, częściej uzgadniano kandydatury z cesarzem lub jego reprezentantami. Ten, kto mógł się spodziewać dobrego przyjęcia na dworze, miał większe szanse niż inni, także w oczach wiernych i zwykłych członków kleru, liczono bowiem, że będzie w stanie więcej „załatwić” dla miasta. Większe szanse to nie znaczy pewność – znamy wiele przypadków, gdy wybierano osoby władcom niemiłe. Także biskup mający błogosławieństwo cesarza, gdy objął swą funkcję, mógł postępować całkiem odmiennie od wiązanych z nim oczekiwań. Jeśli zdobył poparcie własnego kleru i ludu, panujący nic mu nie mogli zrobić. Przypadek Jana Chryzostoma dwukrotnie wygnanego z Konstantynopola był zupełnie wyjątkowy, miał on w swoim Kościele wielu zdecydowanych wrogów, póki żył i działał, budził wśród współpracowników skrajne reakcje.

Liczono się też z opinią zmarłego biskupa, promując bardzo często jego najbliższych współpracowników. Zdarzało się, że biskupi przed śmiercią redagowali otwarte rekomendacje lub też, mimo że tego zakazywano, wyświęcali następcę jeszcze za swego życia.

Ani w III w., ani w następnym stuleciu nie istniały identyczne procedury dla wszystkich okazji, praktyka wykazuje ogromne wahania – wszystko zależało od lokalnych warunków, tradycji, ewentualnych kandydatów. Powszechnym marzeniem była jednomyślność. Widziano w niej znak woli i inspiracji Ducha Świętego.

Naturalną kolejną rzeczą było powoływanie na stanowisko biskupa któregoś z członków lokalnego kleru, dobrze znającego miejscowe problemy, już sprawdzonego w działaniu. Źródła sygnalizują nam jednak odstępstwa od tej normy. Nie tylko wyświęcano ludzi niepełniących poprzednio żadnych funkcji w Kościele, ale podnoszono również do biskupiej godności neofitów lub zgoła katechumenów. Przypomnę przypadki Ambrożego (ok. 337–397), Nektariosa, biskupa Konstantynopola (381–397), Synezyjosa z Kyreny (ok. 370 – ok. 415). Czy takich nieregularnych (z punktu widzenia kościelnych obyczajów) elekcji było dużo czy mało? Niestety, nasza wiedza o wyborach konkretnych biskupów dotyczy zawsze przypadków specjalnych, nie możemy więc mieć żadnej statystycznej orientacji w tej materii. Podejrzewam, że nieregularne elekcje były rzadkie, gdyż duchowieństwo ceniło sobie przestrzeganie zasady powolnej kariery i w zwykłych sytuacjach niechętnie widziało intruzów.

Zdarzały się także przypadki powierzania godności biskupów osobistościom pochodzącym z innych miast. Kler i lud, nie znajdując na miejscu właściwego kandydata, mogły szukać przyszłego biskupa w miastach sąsiednich. Niekiedy spotykamy na biskupich tronach ludzi z odległych krain, na przykład w Italii przybyszów z Egiptu i Syrii. Jeśli prawdziwa decyzja zapadała poza diecezją, u hierarchicznych zwierzchników w Kościele (metropolitów i patriarchów) lub

władcy, wówczas szanse powierzenia jej komuś obcemu, a za to mającemu inne zalety, rosły.

Rozwijający się ruch monastyczny spowodował bardzo szybko pojawienie się wśród biskupów byłych mnichów. Wielki prestiż, jaki dawała asceza, ułatwiał im uzyskanie i sprawowanie urzędu biskupiego. Mnisi rozmaicie reagowali na propozycję jego objęcia. Wielu pragnęło służyć Kościołowi, naprawiać zepsuty świat; wezwanie do objęcia biskupiej funkcji traktowali jak głos Boga, wzywający ich do walki z szatanem w świecie. Ambicje, nieco tylko przytłumione przez ascezę, ułatwiały im przystosowanie się do nowych warunków. Dla bardzo wielu jednak powrót do „świata”, którego się wyrzekli, zanurzenie się w walki między ludźmi, przymus kompromisów, także w sferze moralności, były ciężką próbą; starali się od niej uwolnić, uciekali, protestowali. Opór przydawał im prestiżu, uznawano, że dobrze wróży ich przyszłym działaniom („nie chce ordynacji, a więc jest jej godny”). Ludzie niechętnie widzieli otwarte manifestowanie ambicji, nawet jeśli w cytowanym *Liście do Tymoteusza* bynajmniej jej nie potępiono, co widać ze słów: „Jeśli ktoś dąży do biskupstwa, pożąda dobrego zadania”. Krzyki protestu, skargi na utracony spokój nabrały z czasem charakteru stereotypu, w średniowieczu kandydat na patriarchę Aleksandrii, z reguły brany już wtedy z któregoś z wielkich, sławnych klasztorów, przywożony był na ceremonię w łańcuchach...

Obecność biskupów z innych miast w czasie całej procedury była niezbędna, to oni, wkładając ręce na głowę elekta, dokonywali sakramentalnego przekazania mu darów Ducha Świętego. Był to akt konstytutywny, bez niego ordynacja była niemożliwa (znamy jednak kilka przypadków takich nieregularnych elekcji biskupich w małych grupach heretyckich; Wielki Kościół tę ewentualność odrzucił raz na zawsze). Już w III w. sformułowano zasadę, wedle której ordynacji nie może dokonać jeden biskup, powinno ich być przynajmniej trzech. Ów wymóg nie miał charakteru sakramentalnego, był on skutkiem niedobrych doświadczeń. Udział trzech biskupów lepiej zabezpieczał przed decyzjami arbitralnymi, lekkomyślnymi. W IV w. rola biskupów w czasie wyborów wydatnie wzrosła. Starano się ściągnąć wszystkich pasterzy danej prowincji, jeśli zaś nie było to możliwe, czekano, aż prześlą pisemnie swą zgodę na to, co ustalono pod ich nieobecność, i dopiero wówczas przystępowano do wyświęcania elekta.

Rola świeckich, mimo wszelkich zmian w kościelnych obyczajach, była ogromna. Oczywiście liczył się nade wszystko głos miejscowych notabli: zaможnych właścicieli ziemskich, urzędników, szefów korporacji rzemieślniczych. Uczestniczyli oni osobiście w pertraktacjach, a gdy upowszechnił się obyczaj sporządzania pisemnych protokołów procedury, podpisywali je razem z biskupami i członkami kleru. Jednak na tym się nie kończyło. Zwykli mieszkańcy miasta także mogli interweniować, wszczynając tumult, odmawiając udziału w publicznej aklamacji, ogłaszając hałaśliwie własne preferencje. W ten sposób można było uniemożliwić objęcie stanowiska, a nawet i po jego objęciu przymusić biskupa do rezygnacji. Wobec wrzeszczącego tłumu biskup nie miał żadnych szans, żąd-

nych środków pacyfikacji. Jeśli odwołał się do pomocy wysokich dostojników świeckich, a ci wysłali żołnierzy, cała sprawa, wcześniej czy później, źle się dla biskupa kończyła – opinia publiczna traktowała takie postępowanie jako objaw słabości, dowód braku autorytetu.

Tłum w takich przypadkach był najczęściej przedmiotem manipulacji, działał z poduszczenia innych kandydatów i popierających ich ludzi. Pamiętajmy bowiem, że obraz jednomyślnego ludu Bożego, wspólnie z biskupami i całym miejscowym duchowieństwem radośnie zgadzającego się na osobę nowego pasterza, niekiedy tylko odpowiadał rzeczywistości. Kościół odziedziczył po starożytnym systemie *polis* całą właściwą temu systemowi skłonność do rywalizacji między osobami pragnącymi sprawować władzę. W mieście, w którym zabrakło biskupa, tworzyły się koalicje rodzin i środowisk, mające własne pomysły na temat tego, kto powinien rządzić Kościołem. Wyprowadzenie ludu na ulicę było zabiegiem ryzykownym, ale jeśli potrafiono odpowiednio przygotować atmosferę – skutecznym. Istniały jednak granice manipulacji: nie można było skłonić tłumu do manifestowania na rzecz kandydata niepopularnego lub nikomu nieznanego. Manipulacja polegała przede wszystkim na podgrzewaniu emocji w mieście i organizowaniu ludu do zbiorowych wystąpień.

Sławne elekcje: Damazego i Ambrożego

Jeden z najbardziej znamienitych (a zarazem bardzo drastycznych) konfliktów na tle walki o tron biskupi z udziałem tłumów wydarzył się po śmierci biskupa Rzymu, Liberiusza (352–366). W 355 r. został on wygnany z Rzymu z rozkazu cesarza Konstancjusza II i na jego miejsce wyświęcono nowego biskupa, Feliksa. Liberiusz wrócił do miasta po trzech latach, a jego konkurenta władze usunęły z Rzymu. Gdy w 365 r. Feliks zmarł, wydawało się, że sprawa schizmy została raz na zawsze zlikwidowana: choć obie strony miały swoich zwolenników, Liberiusz zrobił wszystko, aby przeciągnąć na swoją stronę, metodami jak najbardziej chwalebnyymi, ludzi Feliksa. Jednak konflikt odżył, i to w straszliwej formie. O wydarzeniach, które nastąpiły, opowiada nam w swej *Historii Kościoła* Sokrates oraz inne źródła epoki. Mamy także tekst zdumiewający (a to z tego powodu, że się zachował): pamflet przeciwko Damazemu, napisany niedługo po 368 r. Tekst ten znalazł się w kolekcji listów papieża i cesarza powstałej w połowie VI w. Wydawca zbioru, O. Gunther, nazwał pamflet dość bezsensownie: *Gesta inter Liberium et Felicem* („To, co się wydarzyło między Liberiuszem a Feliksem”). Autor pamfletu chciał mobilizować opinię Kościołów Italii przeciwko Damazemu.

Wedle tego tekstu 24 września 366 r., natychmiast po śmierci Liberiusza, zebrali się bliscy mu prezbiterzy, trzej diakoni i „lud święty” w bazylice Juliusza i tam jako następnego biskupa Rzymu wybrali Ursyna. Inni członkowie kleru, zwolennicy zmarłego antypapieża Feliksa, wybrali Damazego. Biskup Tiburu (dziś

Tivoli), Paweł, od razu wyświęcił Ursyna (przy istnieniu dwóch rywali pośpiech był bardzo wskazany; ten, który został wyświęcony wcześniej, miał w każdej sytuacji większe nadzieje na urząd). Zawiadomiony o ceremonii Damazy, „który zawsze dążył do objęcia biskupstwa, posługując się pieniędzmi, podburzył wóźniców cyrkowych i głupi tłum” i zaatakował bazylikę Juliusza. Według pamflecisty walki trwały trzy dni i były bardzo krwawe. Damazy w tydzień po śmierci Liberiusza zajął Lateran (pamflecista napisał: „po siedmiu dniach wraz ze wszystkimi krzywoprzysięzcami i ludźmi cyrku, których przekupił wielkimi pieniędzmi, opanował bazylikę laterańską”) i tam został konsekrowany. Za pieniądze kupił poparcie prefekta miasta Wiwencjusza i uzyskał cywilny wyrok wygnania Ursyna i jego dwóch diakonów. Na tę wieść „lud święty”, czyli zwolennicy najpierw Liberiusza, a następnie wypędzonego Ursyna, zorganizowali opór i zajęli bazylikę Liberiusza. W dniu 26 października Damazy przypuścił szturm, wezwawszy „ludzi cyrku, wóźniców i grabarzy oraz cały kler z siekierami, mieczami i kijami”. Atakujący próbowali podłożyć ogień i zrzucać z dachu do środka dachówki. Zamknięci w bazylice przeciwnicy Damazego zaczęli recytować: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciała, gdyż nie mogą zabić duszy”, a także śpiewali: „Ciała sług twoich wydali na pastwę ptakom powietrznym, zwierzętom ziemi ciała twoich świętych. Ich krew rozlali jak wodę wokół Jeruzalem i nie było komu ich pogrzebać”. W bazylice, ostatecznie zdobytej przez ludzi Damazego, zginęło 160 osób, mężczyzn i kobiet.

Ten sam epizod został opowiedziany (z mniejszą niestety liczbą szczegółów) przez świętego, rzetelnego historyka, piszącego niewiele lat po wydarzeniach, Ammiana Marcellina. Wspomina on o szturmie zwolenników Damazego na bazylikę zwaną Sicinum. Wedle niego zginęło 137 osób. Zwolennik Damazego, Hieronim, w swej powstałej niemal współcześnie kronice, pisząc o masakrze (nie dało się jej ukryć), stara się tak przedstawić wydarzenia, aby ordynacja Damazego wyprzedzała w czasie ordynację Ursyna – w ten sposób to Ursyn stawał się winnym siania niezgody w Kościele.

Nie chcę zajmować się tutaj szczegółową analizą tych przekazów źródłowych. Jestem jednak winna czytelnikowi choćby skrótowy komentarz do przedstawionych faktów.

Nie powinniśmy zbyt łatwo dawać pełnej wiary pamflecistom. Takim autorom nigdy nie należy ufać bez zastrzeżeń, gdyż nienawiść skłania do przeinaczania faktów. Zapewne niewiele ich wymyślił, musiał z grubsza trzymać się prawdy, gdyż pisał dla ludzi, którzy znali wydarzenia; jeśli chciał osiągnąć zamierzony efekt (utrwalenie wrogości do Damazego wśród włoskich biskupów), nie mógł sobie pozwolić na jawne kłamstwa. W każdym razie Damazy był człowiekiem wybitnym, pokazały to dzieje jego pontyfikatu: nie byle jakiej sztuki, dojrzałości i cierpliwości wymagało kierowanie Kościołem po tak burzliwej elekcji. Do rywalizacji o stanowisko biskupa Damazy przystępował już jako znany i cieszący się autorytetem członek kleru, miał rozległe wpływy wśród duchowieństwa i świeckiej elity miasta. Jego przeciwnicy stanowili grupę rygorystów niemogących po-

godzić się z wczorajszymi przeciwnikami, czerpiących siłę z odwoływania się do konfliktów sprzed lat, z przypominania swych minionych krzywd. Jest wielce prawdopodobne, że wcześniej wyświęcony został Ursyn. Damazy, pewny swej elekcji, nie musiał śpieszyć się z samą ceremonią, respektując rzymskie obyczaje co do dnia tygodnia, w którym powinna się odbyć; wiedział też, że po jego stronie jest biskup Ostii, który tradycyjnie winien uczestniczyć w akcie ordynacji. Natomiast Ursyn, niemający tak solidnego oparcia, chciał przynajmniej móc się powołać na to, że pierwszy otrzymał sakrę. Na pewno w czasie zamieszek padły trupy, informacja Ammiana, iż było ich 137, ma wszelkie znamiona prawdopodobieństwa.

Kto był winien, kto dał rozkaz rzezi – to już zupełnie inna sprawa. Z faktu, że zwyciężyli stronnicy Damazego, nie wynika, że to on był bezpośrednio odpowiedzialny za rozlew krwi (pośrednio jednak tak, gdyż posuwając się do przemocy, zapewne wiedział, że mogą być ofiary).

Zupełnie inny przypadek stanowi historia biskupiej elekcji Ambrożego na tron mediolański. Po śmierci ariańskiego biskupa Auksencjusza w 374 r. miasto podzieliło się na zwalczające się faksje, groźba zamieszek rosła. W tej sytuacji Ambroży, sprawujący wysoką godność prokonsula prowincji Ligurii i Emilii, przybył na miejsce zgromadzenia, aby nie dopuścić do otwartej walki, i próbował uspokoić zebranych. Nagle ktoś z tłumu krzyknął, że biskupem powinien zostać Ambroży, i wszyscy podjęli okrzyk, uznając, że w tym nagłym odwróceniu nastrojów i w pełnej entuzjazmu jednogłośnie objawia się wola Boża (zawsze jednogłośnie była uznawana za dowód Bożej interwencji, kłótniom zaś przypisywano autorstwo szatana). Paulin, sekretarz biskupa Ambrożego i jego biograf, twierdzi, że ów głos pochodził od dziecka. Dziecko w roli Bożego posła należy do stereotypów jeszcze pogańskich (bogowie dawali znać o swojej woli przez usta dzieci spotykanych przypadkiem na placu czy na ulicy), a stereotypy z natury są podejrzane.

Zdarzało się nieraz, że ktoś otrzymał biskupią sakrę, ale nie był w stanie sprawować urzędu i nie było w tym jego winy (przynajmniej oczywistej). Otrzymanie święceń wskazuje, że początkowo kandydat został przez wszystkie strony zaakceptowany, dopiero później sytuacja uległa zdecydowanemu pogorszeniu z powodów, które możemy sobie wyobrazić, ale których z braku informacji w konkretnych przypadkach nie ustalimy. Może ujawniono dodatkowe fakty, może atak krytyków uzmysłowił większości, iż nowy biskup nie da sobie rady, może wreszcie elekcja była wynikiem nacisków ze strony biskupów, a gdy ci odjechali, stłumiona na krótko niechęć odżyła. Takimi przypadkami odrzuconych biskupów zajmowano się już na synodzie zwołanym w Ankyrze w 314 r. Niektórzy z biskupów nie chcieli uznać przegranej i zrezygnować z godności, próbowali więc, wywołując niepokoje, narzucić swą osobę innym Kościołom, mimo że miały już one pasterzy. W stosunku do takich ludzi orzekano karę wykluczenia z Kościoła, jeśli jednak pogodzili się z sytuacją, zachowując godność prezbiterów piastowaną przed elekcją, i nie spra-

wiali więcej zamieszania, mieli prawo do honorów przewidzianych dla biskupów (kanon 18). W 341 r., w czasie synodu w Antiochii, jeszcze raz rozpatrywano taką sytuację, powtarzając decyzję podjętą wcześniej w Ankyrze: biskup bez biskupstwa zachowa swoją rangę i związane z nią zaszczyty, pod warunkiem że nie będzie przeszkadzał lokalnemu pasterzowi. Nie do końca wiemy, na czym polegały zaszczyty związane z tym urzędem biskupim. Na pewno było to prawo do pierwszeństwa w czasie obrzędów i uroczystości, prawo do tytułatury, ale co ponadto? Jest bardzo prawdopodobne, że takiemu biskupowi, pozostającemu faktycznie w randze prezbitera, dawano więcej pieniędzy, zboża, itp. niż jego kolegom.

Zatargi w Kościele, powstające najczęściej z powodu poczynań biskupów, nie tylko z okazji ich wyboru, były prawdziwą plagą. W 451 r. na soborze chalcedońskim uchwalono przepis, który przybliży nam nieco realia owych sporów:

„Towarzystwa lub bractwa tajne, zakazane już prawem cywilnym, tym bardziej należy zakazać w Kościele Bożym. Jeżeli więc zostało dowiedzione, że duchowni lub mnisi związali się przysięgą, by wyrzucić swą nienawiść na biskupie lub swoich kolegach ze stanu duchownego, należy ich złożyć z urzędu” (kanon 18). Historyk starożytności pogańskiej przyjmuje ten tekst z rozbawieniem: kanon mówi o grupach powstających w celu prowadzenia wspólnej walki politycznej, które Grecy nazywali heteriami (bractwa), a łacinnicy *coniurationes* (sprzysiężenia). Znamy je świetnie z historii Aten V i IV w. p.n.e., a także z historii republikańskiego Rzymu. W czasach, kiedy nie istniały stronnictwa polityczne ani partie, owe sprzysiężenia były jedną z najpospolitszych form organizacji politycznych. Istotną rolę odrywała w nich przysięga: ich uczestnicy, działając poza prawem lub na granicy prawa, w każdym razie ryzykując represje ze strony kościelnego establishmentu, musieli mieć do siebie zaufanie. Przysięga zmieniała charakter takiej grupy, formalizowała ją, z chwilowego porozumienia kilku mniej lub bardziej wpływowych ludzi, uzgadniających między sobą taktykę działania, wyłaniała się organizacja. Jeśli w mieście istniały konflikty, a biskup nie miał dość autorytetu, organizacje takie mogły całkowicie destabilizować miejscowe układy sił – niekiedy kończyło się to krwawymi rozruchami. Nie dziw, że uczestnicy soboru chcieli jakoś postawić tamę takim formom rywalizacji wśród kleru.

W aktach synodów i soborów mamy mnóstwo relacji, lub przynajmniej informacji, o konfliktach tego rodzaju w Kościele, synody stanowiły bowiem zwykłe forum, na którym podejmowano decyzje właśnie w przypadku takich konfliktów. W nowoczesnych pracach na temat historii Kościoła rzadko się o nich pisze, dla apologetycznej historiografii katolickiej nie jest to powód do dumy i chwalenia działań Kościoła w przeszłości, osobiści nieprzyjaciele Pana Boga skupiają swoje ataki na kwestiach bardziej spektakularnych. Wojny wewnętrzne trwające w tym lub innym biskupstwie w żadnym razie nie powinny gorszyć historyka pozbawionego skłonności apologetycznych ani stanowić powodu do wątplenia w religijne prawdy; na pewno są fascynujące, pokazują nam, jak Kościół przejął metody prowadzenia w istotnej części życia publicznego, charakterystycznego dla *polis*.